

Zagadka

Dwóch młodych ludzi miało ze sobą wiele wspólnego. Dobrze czuli się w tym pokoju z kolorowymi tybetańskimi zwojami na ścianach, pod ośnieżonymi szczytami, wśród stoków porośniętych sosnowym lasem. Obaj byli wędrowcami, wygnańcami, obaj musieli porzucić swoje domy, co pozwalało im myśleć o domu w zupełnie nowy sposób, bez ograniczeń związanych z kwestiami narodowości czy rasy. Obaj byli także filozofami – ale filozofami głęboko zainteresowanymi światem realnym i tym, jak polityka i społeczeństwo mogą zmieniać się, jeśli spojrzeć na nie w innym świetle. Obaj dorastali w czasach, kiedy dzięki samolotom odrzutowym i ekranom telewizorów różne kultury mogły przenikać się jak nigdy dotąd – i prawdopodobnie pierwsze pytanie, jakie sobie stawiali, dotyczyło tego, jak zamienić tę globalną rzeczywistość w źródło nowych możliwości.

XIV Dalajlama miał wtedy dwadzieścia cztery lata. Do Indii przybył zaledwie rok wcześniej, w marcu 1959 roku, kiedy chińskie wojska groziły zniszczeniem Lhasy, a on sam został zmuszony do ucieczki z rodzinnego Tybetu. Teraz, po raz pierwszy w dorosłym życiu, mieszkał pod jednym dachem z matką i kilkorgiem rodzeństwa, ciesząc się możliwością rozmawiania z obcymi i nawiązywania bezpośrednich relacji z ludźmi, co w jego poprzednim życiu nie byłoby możliwe. Lubił chodzić na spacerów w wysokie góry i odpoczywać na zielonych łąkach. Założył nawet ogród i chciał go uprawiać, podobnie jak to czynił w Lhasie. Jednak za każdym razem kiedy zrobił coś w ogrodzie, jak

wyznał po latach, zaczynał padać monsunowy deszcz i niszczył wszystkie efekty jego pracy. Zaczął tęsknić za suchą wyżyną Tybetu.

Mój ojciec, kiedy trafił do pokoju, zmierzał w przeciwnym kierunku. Urodził się pięć lat wcześniej niż Dalajlama, w hinduskiej rodzinie. Dorastał w małym mieszkanku w Bombaju, razem z sześciorokiem rodzeństwa, kilkorgiem kuzynów, a czasami także z sąsiadem. Uczył się w brytyjskiej szkole katolickiej i tak dobrze opanował Szekspira i świętego Augustyna, że zdobył stypendium w Oksfordzie. Teraz (podobnie jak moja matka, także Hinduska wychowana w Bombaju) wykłada filozofię polityczną na tej szacownej uczelni. To dało mu możliwość łączenia wielkich tradycji filozoficznych Zachodu – Platona, Plotyna, Kanta... – z hinduizmem i buddyzmem, którymi nasiąkł jeszcze jako dziecko.

W czasie, kiedy przybył do Indii i poprosił o możliwość spotkania z przybyłym niedawno Dalajlamą, zbierał materiały na temat Mohandasa (Mahatmy) Gandhiego. Przywódca Tybetańczyków także, oczywiście, myślał wiele o Gandhim, zastanawiając się jak bez użycia przemocy prowadzić walkę z okupantem i jak wykorzystywać polityczną sprawność w ponadpolitycznej sprawie. Tak się złożyło, że dom w którym zamieszkał Dalajlama, był własnością tej samej zamożnej indyjskiej rodziny, która w Delhi wynajmowała dom Gandhiemu. W całym budynku można było znaleźć portrety nieżyjącego już indyjskiego przywódcy. Podtytuł autobiografii Gandhiego – *Historia moich zmagañ z prawdą* – pasowała także do historii Dalajlamy, który sam był miłośnikiem wszelkich eksperymentów [oryginalny angielski tytuł autobiografii Gandhiego mówi właśnie o „eksperymentach” z prawdą – przyp. tłum.]. Przez całe życie starał się przecież stworzyć nowy, bardziej trwały Tybet poza granicami Tybetu i chronić prawa swojego narodu bez naruszania praw swojego „wielkiego sąsiada”, jak nazywał komunistyczne Chiny.

Pięć lat po tym pierwszym spotkaniu mój ojciec wydał książkę *The Glass Curtain* [Szkłana kurtyna], w której pisał o stuleciach złudzeń

i projekcji, które dzielą Azję od Europy. Słowo wstępne do książki napisał jego nowy przyjaciel, Dalajlama, który zawsze za swój główny cel uznawał przebijanie się przez dzielące ludzi różnice po to, aby umożliwić im głębsze spotkanie. Książka została zadedykowana – choć zauważyłem to dopiero kilkadziesiąt lat później – małemu chłopcu o imieniu Pico oraz „ludziom z jego pokolenia, dla których kurtyna nie będzie już istnieć”.



Czterdzieści trzy lata po tym owocnym spotkaniu jeden z jego beneficjentów obudził się w swoim dwupokojowym mieszkaniu na przedmieściach pewnego japońskiego miasta. Był piękny, jesienny poranek na początku nowego tysiąclecia – doskonały czas na spędzenie dnia w towarzystwie Dalajlamy. Odwiedzałem go w jego siedzibie na wygnaniu regularnie od trzydziestu lat, niemal tak samo długo towarzyszyłem mu w jego podróżach po świecie – ciągle jednak byłem zafascynowany głoszoną przez niego cichą rewolucją zmuszającą nas do spojrzenia w nowym, szerszym świetle na kwestie polityki, globalizmu, sławy. Chciałem dogłębnie przeanalizować wszystkie pytania i wyzwania, z którymi wiązały się jego „eksperymenty z prawdą”.

W ostatnich latach Dalajlama coraz częściej podróżował. Ruszał w drogę, jak zawsze po to, aby mówić w imieniu sześciu milionów Tybetańczyków, więźniów okupowanego przez Chiny Tybetu – ale coraz częściej także po to, aby głosić przesłanie tego, co sam nazywa „globalną etyką”: podstawowych zasad wzajemnej życzliwości i odpowiedzialności, które każdy może uczynić częścią swojego życia, niezależnie od tego jaką (i czy w ogóle) religię wyznaje. Przez wiele lat podróżując po świecie jako dziennikarz, nie spotkałem żadnego innego Tybetańczyka – czy to w Tybecie, czy na uchodźstwie – który nie traciłby czasu na opłakiwanie przeszłości, ale koncentrował całą swoją energię na budowaniu lepszej przyszłości dla całego świata.

Japonia w listopadzie wybucha feerią blasku i nietrwałego piękna. Tego dnia rankiem niebo było olśniewająco błękitne a temperatura utrzymywała się powyżej dwudziestu stopni, choć liście wokół miasta Nara zaczęły już przybierać odcienie ochry, cytrynowej żółci i rdzawej czerwieni przypominającej szaty tybetańskich mnichów. W samym sercu Nary – miasta, które trzynaście wieków temu było pierwszą buddyjską stolicą Japonii – znajduje się park, po którym przechadzają się daniele. Przywodzi to na myśl inne miejsce, park w Indiach w którym Budda wygłosił swoją pierwszą naukę. Wszystko się zmienia, wszystko się kończy, wszystko umiera – mówią japońskie jesienne liście. I wszystko wraca, zaczyna się od nowa, i znów się zmienia, bez końca, nieustannie. Życie, jak mawiają buddyści, jest „radosnym uczestnictwem w świecie pełnym smutku”.

Wstaliśmy wcześniej, moja towarzyszka Hiroko i ja, a poranne słońce rozlewało na naszym suficie plamy złota. Pojechalśmy autobusem do zatęchłego hotelu Nara – liczącego sobie dziewięćdziesiąt lat domku myśliwskiego położonego w bocznej części parku przypominającego pamiątkę zgubioną przez roztargnionego turystę. Tuż przed dziewiątą zostaliśmy wprowadzeni do małej sali konferencyjnej, gdzie dziesięciu miejscowych uczonych i mnichów – sami mężczyźni, większość ubrana oficjalnie, na czarno – siedziało za stołem i usiłowało tłumić ziewanie. Siedzieli prosto, nieco sztywno, po japońsku. Jako obserwatorzy zajęliśmy składane krzesła pod ścianą. Myślałem o tym, że sam Dalajlama wstał ponad pięć godzin temu, jak zwykle o wpół do czwartej rano, aby spędzić pierwsze godziny dnia na medytacji nad źródłami współczucia i nad tym, co może zrobić dla swojego ludu, dla „chińskich braci i sióstr” wykorzystujących Tybetańczyków jako zakładników i dla nas wszystkich – a także aby przygotowywać się na chwilę własnej śmierci.

Kiedy wszedł do pokoju w otoczeniu grupy współpracowników i gospodarzy spotkania, wśród osób obecnych w sali zapanowała atmosfera skupionej uwagi. Jego nieco przygarbiona sylwetka przypominała mi słowa jego starego przyjaciela i wielbiciela, redaktora naczelnego

„New York Timesa” Abe Rosenthala, że Dalajlama „wygląda jak środkowy wspomagający”. Rozglądał się jak zwykle wokół siebie, odnajdywał znajome twarze, nawiązywał kontakt wzrokowy z nieznanymi, poznawał nowe otoczenie (kiedy osiemnaście miesięcy później spotkałem się z nim w Dharamsali, często odwoływał się do przykładów związanych z tą krótką podróżą do Japonii). Ręce trzymał przed sobą, złożone w geście wyrażającym szacunek. Jego postawa była zaprzeczeniem wyniosłości, jakby chciał za jej pomocą przełamać wszelkie granice i uniknąć jakiegokolwiek formalizmu. Jesteśmy tu razem, razem to przeżywamy, zdawało się mówić jego ciało. Spróbujmy zatem wyprowadzić z tego spotkania jak najwięcej dobra.

Kiedy zajął już miejsce u szczytu stołu, rozejrzał się po całej sali ze szczerą ciekawością, bez cienia zakłopotania. Później popatrzył na tłumacza – wyglądającego na hippisa Amerykanina w cygańskiej kamizelce, z nieco posiwiałymi włosami związanymi w kucyk (Dalajlama widząc brodę lub związane włosy u mężczyzny, zawsze ma ochotę za nie pociągnąć...). Kiedy Tybetańczyk wygłosił krótki wstęp, zdałem sobie sprawę, że pojawił się w tej sali przede wszystkim jako rzecznik „potencjału”, żeby sięgnąć po jedno z jego ulubionych słów. W zwykły dla siebie wyważony, niespieszny sposób przechodząc od angielskiego do tybetańskiego i z powrotem, mówił o tym, że grupa naukowców z Wisconsin, we współpracy z zespołami Princeton i Berkeley, przeprowadziła serię doświadczeń na mnichach i innych osobach doświadczonych w praktyce medytacji, aby ocenić, jaki wpływ ma taka praktyka na ludzki umysł.

Jak dotąd, stwierdzili, że osoby uprawiające medytację od wielu lat, potrafią zwolnić swój rytm serca o trzy czy cztery uderzenia na minutę (w kilku wyjątkowych przypadkach – nawet więcej), zmienić wzór fal mózgowych, a nawet wzmocnić swój układ odpornościowy. Ostateczne konkluzje wymagają jeszcze potwierdzenia, ale wyniki badań sugerują, że być może powinniśmy traktować nasze umysły tak samo, jak nasze ciała: ćwiczyć je i wzmacniać, aby lepiej funkcjonowały.